

PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA

Kazimiera Hejnowicz-Kosińska

21 PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU¹

– Chmurno na dworze dzisiaj, mży? – mamusia zapytała, zbudziwszy się rano. A był już 21 października 1939 roku. Sobota.

Ranna wizyta Janusza, naszego kuzyna, niemile nas zdziwiła. Pochrząkiwał, kręcił się po mieszkaniu, jak gdyby coś wiedział, ale nie chciał nam powiedzieć, a myśmy czekali aż coś powie wreszcie. Zresztą u nas rano też już była ciocia Józefowa, bratowa ojca, której męża też tam przetrzymywali w magistracie i też biegała po naszym domu, wołając, że traci głowę. Bardzo płakała, ale nic nam nie powiedziała nowego i wybiegła.

– Janusz – powiedziałam do niego ostro. – Z czym ty przyszedłeś tu?

– Cicho bądź! – syknął mi.

Więc ja widząc, że przez moment nikogo wokół nas nie było, szepnęłam jeszcze ostrzej: – Mówże! – Lecz on rozglądał się, czy nikt nie usłyszał mego pytania i dalej nic mi nie mówił. Szarpnęłam go więc, a on: – Cicho bądź!

– Ale co?!

– Coś tam ustawiają.

– Ale co?

– No... Nie wiem właśnie co!

– Widziałeś?

Kiwnął, że tak.

¹ Tekst jest fragmentem obszernych wspomnień Kazimiery Hejnowicz-Kosińskiej, córki Mieczysława, które przygotowywane są do wydania książkowego.

– To ja leć zobaczyć, co to jest – wołałam, nakładając palto. – Na Rynku, mamusi, coś ustawiają! – krzyczałam.

– Ale co?! – pytała z kuchni.

– Polecę, zobaczę, zaraz wrócę! – i wybiegłam z domu.

Dzień był dżdżysty, szary, przykry, nieprzyjemny. Siąpił deszcz. Biegłam zdyszana przez pustą prawie ulicę do Rynku. Ogarnął mnie ogromny, przerażający niepokój. Skręciłam w ulicę Świętego Ducha prowadzącą do Rynku. Ludzi tam było coraz więcej, zwłaszcza mężczyzn. Biegając, pytałam, dokąd oni idą, czemu ich tak dużo. Ale nie odpowiadali. A wszyscy podążali w tym samym kierunku, nikt w przeciwną stronę. Na ulicy byli sami mężczyźni i ja – jedna dziewczyna. Ciągłe ich pytałam, wręcz natrętnie, ale albo mi nie odpowiadali, albo podnosili ramiona, że nic nie wiedzą.

– Coś przede mną taicie. Mówcie, co tam ma być? Wy wiecie!

– Idź, dziewczyneczko, do domu, idź, dziecinko – dobrotliwie niektórzy mówili.

– Tu coś ma być! – odkrzykiwałam – Ale co?! Wywiozą ich? – Ale oni mieli twarze przerażone i twierdzili, że naprawdę nie wiedzą, po co idą na Rynek. Aż ktoś z nich mi zdradził, że rozkaz „został ogłoszony”, by wszyscy mężczyźni stawili się na Rynku, więc idą.

– Aha, aha, ale dlaczego? – pytałam półprzymiślnie – To dlaczego my nie wiemy o tym, czemu nie słyszeliśmy tego?

– No, my nie wiemy dlaczego, panienko – mówił mi ktoś smutno.

– Kazano stawić się wszystkim mężczyznom od 18 do 60 lat, tyle wiemy, panienko. – Jakiś pan, jakby znajomy, trochę mi powiedział.

– Aha! Tatusia chcą może nam wywieźć?! – Biegając, wołałam i przekrzykiwałam się z ludźmi. Nie dobiegłszy jednak do Rynku, zawróciłam, bo ujrzałam tam coś, co mnie sparaliżowało, co mi się wydało gilotyną, jakieś bele, worki... – Po co słupy telegraficzne ustawili na Rynku? – pytałam. – Po co? Nie wiecie, co to tam jest? Hej! Ludzie! Co to ma być?

Zawrócę, muszę się przyjrzeć, co to jest, bo co powiem mamusi, myślałam. I biegłam znowu na Rynek. I tak jak przedtem, obcy i znajomi ludzie podnosili ramiona i nic mi nie tłumaczyli. Pomyślałam, że trzeba ratować, trzeba coś zrobić! Wołając tak, biegłam z powrotem do domu, zawodząc i jęcząc głośno. I... spostrzegłam mamusię idącą w swym czarnym futerku z Bolechem i z Januszem. Mocno trzymali się pod ręce. Szli bardzo szybko, wcale nie słuchając, co mówię. Razem teraz biegliśmy do Rynku, a tam grupka studentów i maturzystów: Józef Polaszek, Wojtek Ślowski, Franek K., Włodarski i inni koledzy moich sióstr. Przekonywali nas do pójścia do znajomych mieszkających w Rynku na piętrze. Wręcz siłą nas tam wciągnęli. Wyrwałam się im, gdyż chciałam biec do magistratu zapytać, czy może tatusia chcą gdzieś wywieźć, zapobiec temu i zobaczyć się z nim. Jednak Józef złapał mnie i dosłownie zaniósł do tego mieszkania. Tam było już wiele żon

tych uwięzionych i kilkoro dzieci. Nasi koledzy trzymali drzwi wyjściowe, a potem ktoś zgubił klucz i nie mogliśmy zawrócić na Rynek. A drzwi, przez które można było wyjść na podwórze, a stamtąd na Rynek, zastawione były szafą pełną żelastwa, bo ludzie tu mieszkający mieli sklep z żelastwem i tej szafy nie byłam w stanie odsunąć. W tych trzech pokojach, gdzie było dużo krewnych i najbliższych ludzi uwięzionych w magistracie, zastanawiałam się, dlaczego wszyscy się tutaj skupili. Było chyba z osiem żon tych uwięzionych w lochach ratusza. Bożena, córka właścicieli, posadziła mamusię w trzecim, ostatnim pokoju przy oknie.

– Wygodnie mamusi? – zapytałam. Pokiwała, że tak. Pobiegłam zobaczyć jak tam Bolech, bo był w jakimś szoku, i Janusz się nim zajmował, a koledzy cucili go i pocieszali. I ilekroć ja dostać się chciałam do niego, to ktoś z nich drzwi trzymał mocno i Bolecha nie chciał wypuścić. Oni znajdowali się w tym pierwszym pokoiku najmniejszym, gdzie okno zasłonięte było czymś tylko, bo pozostałe okna w tamtych pokojach zasłonięte były żaluzjami. Były one stare, zniszczone, pokruszone, miejscami dziurawe tak, że cały Rynek był przez nie widoczny.

Dowiedziałam się, że nie wolno było ich pociągnąć w górę, bo rozkaz był, żeby okna były zasłonięte. Ustawiłam się w środkowym pokoju przy największej szczelinie, i mimo że mnie odpychali, nikogo do tego miejsca nie dopuszczałam. I biegałam do mamusi, i do Bolecha, na zmianę. A ciocia Józefowa wołała: – Tę Kaziulę gdzieś zamknijcie do szafy albo do łóżka ją schowajcie, ona tu nie może być!

Pobiegłam do mamusi i chciałam się poskarżyć, ale ona bardzo źle się czuła. Mówiła mi: – Co się tutaj dzieje, dlaczego ciebie chcą zamknąć do szafy, co to ma być? – Odpowiedziałam, że ciocia jakby zwariowała i woła, że jest bez głowy.

– Ale czemu, co to wszystko znaczy? – pytała mama. Błada stała też w tym pokoju bez słowa pani Kapciowa, żona dyrektora naszego gimnazjum, ze swymi dwoma synkami.

Panował straszny chaos. Ludzie wciąż powtarzali i szeptali, że o dzieśiątej, ale nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Bardzo bałam się o Bolecha, bo obawiałam się, że coś się z nim stanie. Rzucił się na drzwi i okna i koniecznie chciał wydostać się na balkon, a oni go tam trzymali i pocieszali, nie dopuszczając mnie do niego. I nie mogli dać sobie z nim rady. Myślałam, że on musi coś wiedzieć. Może coś złego słyszał?

– Bolech, może nic nie będzie, proszę cię, uspokój się. Czy ktoś ci coś powiedział, że tatusia gdzieś zabiorą. Bolech! – wołałam i waliłam do niego w te drzwi. – Albo mu coś zrobią? Bolech! Uspokój się, proszę cię! – krzyczałam. Ale on nic nie słyszał. Był w jakimś szale. Krzyczałam więc do innych znajdujących się tam.

– Mietku! Józef! – i biegłam do mamusi, i wracałam. – Janusz? Józef! Stachu! Czy wy coś wiecie? Co tu będzie? Powiedzcie mi! Mietku!

Zlitował się i wyszedł do mnie.

– Mietku, przecież twój ojciec nie siedzi, więc dlaczego drzysz tak cały?

– Ale twój siedzi! – odpowiedział mi kuzyn.

– Więc co? – pytałam go.

– Kaziulka, dziecko, mamusia cię woła – powiedziała ciotka, a potem znów wołała: – Tę Kaziulę gdzieś przetrzymajcie, ona tu nie może być!

Biegłam więc szybko do mamusi, by ją pocieszyć i by się tam przy niej schować, żeby mnie nie złapali. Przykucnęłam do jej nóg, obejmowałam ją, tuląc się czule. Mówiłam: – Może nic nie będzie, mamusiu, przecież nikt nie wie, a kibitek nie widać żadnych.

– Ufam Bogu, że nie pozwoli zabrać ojca jedenaściorgu dzieciom. – odparła mi.

Pocieszaliśmy się wszyscy nawzajem. Mamusia mówiła:

– Jedenaściorga dzieci nikt nie zostawi bez ojca.

Wtedy jeszcze nikt tak dobrze nie znał naszego wroga i nie wiedział, do czego jest zdolny.

Biegłam znów do okna z powrotem, by sprawdzić i zobaczyć, co się tam na Rynku dzieje. Połowa placu była zajęta przez wyczekujących mężczyzn. Czemu tak stoją, myślałam. Tłum ten czegoś widownią ma być.

– Dziecino, mamusia cię wzywa, leć do niej szybko – powiedziała mi matka Bożeny. Ona jedna była tu spokojna. Mamusia urywanym głosem mówiła:

– Ty wiesz, moje dziecko, co mi tatuś powiedział, gdy tam u niego wczoraj byłam?

– Z kolacją? Co mówił?

– Powiedział mi... ty, Heluchna, dasz sobie radę z dziećmi, beze mnie, ale ja bez ciebie bym sobie nie dał. Myślę teraz o tym, co on chciał mi przez to powiedzieć? Jak myślisz, co to miało znaczyć, moje dziecko?

– No, że tatuś bez mamusi nie mógłby żyć – odpowiedziałam, a moja matka jakimś nieprzytomnym wzrokiem wodziła po wszystkim i po wszystkich, to znów w drzwi ratusza wpatrywała się. Podeszła Bożena i podała jej jakieś krople. Mamusia wypila i poprosiła o jeszcze jedną porcję. Mnie też namawiali, żebym wzięła, wręcz zmuszali, ale ja przecież nie znoszę lekarstw. Bolech szarpał znów drzwi, że ledwo koledzy dawali sobie z nim radę. Zostałam w pokoju przy oknie. Nie obchodził mnie zakaz stania przy oknie ani prośby Józefa, bym się odsunęła.

– Idź lepiej do mojej mamy, Józef, proszę cię, albo do Bolecha idź – odpowiadałam mu. Zresztą wszystkie inne kobiety też zaglądały do okien albo przy nich stały, chociaż czyniły to dyskretniej.

– Mówili mi przecież, że będą zwolnieni, dlaczego więc tu wszyscy tak płaczą? – pytała mama.

– Nie wiem, mamuś. I dlaczego jest tak szaro i strasznie?

Ktoś gasi wszystkie światła, że wszędzie robi się ciemno. Na osłep wręcz pędzę do matki.

– Mamo, jakaś ty dzielna! Ufamy Bogu, że nikt nam przecież naszego ojca nie powiesi, bo na miłość boską, czy wieszanie tu jakieś ma być, bo czemu tak wszyscy truchleją ze strachu? Ale ludzie mi mówili, mamuś, że to nie jest żadna gilotyna.

– Co mi mówisz? Co tu się dzieje? Lęk mnie wprost obezwładnia...

A ja ją pocieszałam: – Ale, mamusiu, tam nie ma żadnych kibitek. Zobaczą. – I pobiegłam patrzeć. A tam w dole tłum bezbarwny, wzruszony, wydał się być falujący. Na ratuszowym zegarze zaczęła wybijać dziesiąta.

– Dziewczę, po co tu przysłaś? – usłyszałam głos cici. – Po to samo co i ciocia – odparłam jej. W ciszy nagle ktoś krzyknął: – Odejdźcie od okien, bo mogą strzelać! Więc zawołałam: – To niech strzelają! Ja muszę zobaczyć, dokąd ich zaprowadzą, bo trzeba wiedzieć i widzieć, co z nimi robią.

Jednego nie rozumiałam, dlaczego trzeba zasłonić okna, skoro tam na Rynku jest tylu ludzi. W końcu wychodzą. Wychodzą ludzie z ratusza. Tatuś idzie na przodzie.

– Chryste, Panie mój, gdzie ich prowadzą? – słyszę głos matki.

Przywarłszy więc do okna, krzyczę: – Tatuś nasz! Tatuś, mamusiu, idzie! Idzie! Tatuś!

Głos matki jest przerażający: – Mieczek! Mieczek!? – I Bolecha słyszę jak krzyczy: – Jest! Jest! Idzie!

Pierwszy idzie. Ale dlaczego tak idą? Wujek Józef obok. I tak idą. Och, jest błądy. Ciocia strasznie krzyczy. Biedna. Czy to mamusia tam tak nieprzytomnie woła? Tatuś nasz w zwykłym swoim codziennym ubraniu. Idzie swobodnie. Ojciec nasz kochany. I ja liczę. Ilu ich jest? Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięciu. Lecz dokąd? Ty nie dopuścisz, Boże, Chryste Panie! Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje! Więc tatuś nie jeden, tylko ich aż tylu? Nie dopuścisz do niczego złego, prawda, Boże? Dlaczego te kobiety tak strasznie lamentują? Cisną się do modlitwy na środku pokoju. Zaczynają:

– Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami. Panie Jezu, usłysz nas, Chryste, wysłuchaj nas!

Ojczulku, tak zbladłeś, czoło tve, ręce masz bielusieńkie. Oni stanęli.

– Halt! – słyhać było krzyki.

Wryłam się jakby w ziemię przykuta, w bezruchu, w nich wpatrzona. Zastanawiałam się: co sobie myśli teraz nasz tatulek?

– Cud spraw, Boże! Chryste! Królu! Szybciej! Cudu! – zawylałam. – Ojczulku, tatusiu, dlaczego ręce wznosisz w górę? Twarz twa uroczyta, jak pogodna jest, uduchowiona. Mówisz coś tam wyraźnie i głośno, lecz tu nie słysząc.

– Mieczuch! Mieczuch! Tatuchnek! – to matka nasza głosem w gardle uwięzionym... więc i ja krzycząc zaczęłam, błagać na cały świat. – Cudu, Boże, żądam cudu! – Nikt z nich niczym nie zawinił, tatuś nasz najdroższy! Lecz oni tam wszyscy podnieśli ręce? Grad! Grad trząsał straszliwy, przez szyby, gwizdzący, świszczący w zębach, przeszył powietrze. Zrobił się dym, strasznie gdzieś wył pies. Lecz, o Boże, co widzę w tych oparach?

Oni wszyscy padają i tata tam. I oni naprawdę upadali.

– Co? Strzały to były, moje dziecko, strzały?

– Mord! – wołają ludzie – popełniono bestialski mord, zbrodnia, zbrodnia straszliwa, morderstwo. Jakim prawem? Ludobójcy!

Mama owiana obłądną rozpaczą wołała: – Mordercy nikczemni, to niemożliwe! Zbrodnia! Zbrodnia! Mietku? Józef, idźcie tam, tam nasz tatuś leży, tam! I się nie rusza, może drasnęła go kula? Trzeba go ratować!

Wszyscy krzyczeliśmy i rozpaczaliśmy, potrącaliśmy się nawzajem, wyjąc jak nieludzie. Panie jakież do modlitw nas garną.

– Okaż nam miłosierdzie! Błagamy Cię! Okaż nam miłosierdzie! Przez krew Jezusa Chrystusa, syna Twego jedyne, błagamy Cię, okaż nam miłosierdzie! Amen, amen... amen... – dopowiadają klęczący. Ale nie wiemy już, jak się ratować. Nagle głosem nieludzkim ktoś woła:

– Następni! Następni idą! Znów dziesięciu!

Dopadłszy okna, widzę wielką postać idącego pana Peiserta. Pan Kazimierz, o mój Boże. On z ojcem zawsze miał jedną ideę, czyli dobro Polski. Najlepsi przyjaciele, Boże! Widzę olbrzymią sylwetkę szambelana Potworowskiego z Goli, a przy nim to pan Kaczmarek, kierownik szkoły, ojciec Franka, który tu z nami jest. A ci ludzie tam stoją i nic nie robią? Tłum biedny, posępny, kordonem wojska otoczony. Lecz ze skazańców jeden ucieka? Gonią go oprawcy po Rynku, strasznie biją kolbami. Olbrzymi ten mężczyzna jednak wrywa im się. Nasz krzyk jest przerażający.

– To baron Graeve! To Graeve! Mój Boże! – krzyczy ktoś. – Co oni robią?

Krzyczymy wszyscy, bo szła nas ogarnia w tym ciemnym pomieszczeniu, bo świat się nam zawalił. Wyrwywanego się jednak złapano i ciągnąc go za uszy, włosy, ręce, to za nogi po bruku go tak objając, wleczono na miejsce straceń. A rodzina mojej serdecznej przyjaciółki krzyczy:

– Wujek Maksiu! Wujek Maksiu idzie! To Irki tatko.

Padają strzały. Padają ludzie.

Dostaję się do okna i widzę, jak strzałem z krótkiej broni dobijają leżących.

Wołam: – Józef! Józef! Idź tam, naszego tatusia odłożyli na bok, idź, proszę cię, ratuj go!

I poszedł, a zewsząd jeden tylko skowyt. Ktoś mnie odepchnął od szyby, gdy na rozkaz cywile wybiegają i ciała na bok znoszą. Inni krew zasypują piachem. Nie mam sił iść do matki.

– Józef? Byłeś tam? – On stara się mnie pocieszyć, mówi, że z rozpacz tak nie wolno Niemcom się poddawać. Bo im o to chodzi. Przykucnęłam pod oknem, bo tatuś jest może ranny, to popatrzę. Lecz oto z bramy wychodzą. Uniosłam się z klęczek, by dokładnie widzieć, bowiem trudno było uwierzyć, że następna grupa Polaków wychodzi. Idą, a towarzyszy im nieludzki krzyk. Jeszcze dziesięciu! Niemcy, co wy robicie?! Oszałeliście?! Nie wolno! Trzeci raz by śmieli? Popłoch i szal niesłychany zrobił się w domu.

– Dyrektor Kapcia! Dyrektor Kapcia!

– Leonku! Leonek! – to pewnie jego żona z synkami i siostra tak świszczące mają głosy, bo on idzie, nasz dyrektor kochany, z głową wkloną w swój oposowy kołnierz zimowego palta. – Leonku! Leon! Leon!

Szpalerem idą, jak tamci, a lament panuje tu nieopisany. Lecz widzę, że obok niego kroczy profesor Weiss. Rynkiem naszym idą.

– Pan profesor Weiss! Profesor Weiss! – wołają inni, że idzie nasz ulubiony polonista. Idą jakby nerwowym, przyspieszonym krokiem, szybciej niż tamci. Palisada czarnych karabinów w górę zaostrzonych tam się szykuje?

– Halt!

Jezu, co czynisz? Boże Ojczy, nie zezwól!

– Hände hoch!

To dwudziesty wiek? O, Germańcy, co wy robicie? Mój profesorze Romanie. Straszliwy huk zaistniał trzeci raz. Trzeci raz strzały przeszły powietrze. Barbarzyńcy! Mordercy! Po raz trzeci padają, najlepsze, najdroższe nam serca. Ot tak, zabija się trzydziestu zasłużonych obywateli miasta. Kto wydał takie prawo? U Bolecha na balkon wbiegła pewna młoda dziewczyna, krzycząc, kto ośmielił się mord uczynić tak barbarzyński, bestialski?

– O, mordercy! Oskarżam was! Zabójcy! Odpowiedcie za to, zbrodniarze, złoczyńcy, wy Niemcy! Przed całym światem!

Lecz oto przyjaciele odciągnęli ją z balkonu, a i sił jej pewnie zabrakło.

A Józef Polaszek szedł i śpiewał: „Święty Boże! Święty mocny! Święty, a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami...”. Wszystkich nas ból niewypowiedziany powalił i leżeliśmy na podłodze. Jednak podźwignęłam się, bo pomyślałam, że muszę tam patrzeć. Zakradłam się znowu do okna. Widziałam, że spośród ludzi zgromadzonych na Rynku wywlekano grupkę, aby zanosila na ciężarowy samochód ciała. Widzę, jak popychają tych ludzi, biją kolbami, bo ciężarówka nadjechała. Biedni ludzie muszą to robić. Wnosić,

kłaść ich, ale lepiej już, że oni to robią, niż tamci dotykać ich by mieli. Mój Boże, widzę kogoś znajomego wśród nich. Wrzucają, starają się kłaść ich, wnosić na to odkryte auto ciężarowe.

– A kałuże, zobacz! – Bolech jest obok i też to widzi. – Kałuże krwi są wszędzie.

I nie mogą zamknąć tego samochodu, bo na wszystkie strony wystają ich ręce i nogi. Więc pojedą tak?

Auto rusza. Będzie przejeżdżać pod moim oknem, lecz mnie od niego odciągają. Ktoś zasłania mi ręką oczy i trzyma moje usta. Lecz ja zrywam te dłonie.

– Józef, pozwól mi widzieć, nie zabraniaj mi.

A wyjeżdżający z Rynku samochód przystanął pod naszymi oknami.

– I co? I co, Bolech?

Na wierzchu, na tych trupach, leżał nasz ojciec.

– Jezu! Hejnowicz, Hejnowicz! – szemrzą ludzie.

Widzę go. To on. Zabili go. Nie rusza się tatuś nasz. To jest jego twarz, tak krwią zbryzgana. I głowa kochana, rozbita. Tak, to jego głowa zmasakrowana. To on. Ta twarz jest jego. I w serce pewnie strzelili, bo tak broczy krwią czerwoną. Bolech chce tam iść, ale lepiej nie, bo go zastrzelą jak tatusia.

– Bolech, zostań, patrz!

– Nasz tatuś ukochany tu leży na samym wierzchu, patrz, Kaziula.

– Widzę go, mamu.

– Musi to jednak być snem, to nie może być prawda. I tu, by przed nami stanęli, dla mnie, żebym mogła go widzieć?

Gdzie teraz pojedą z nimi nieżywymi? Zbrodniarze! Czy specjalnie tu przystanęli, bym mu się dokładnie przyjrzała? Potem, gdy owe kłębowisko ludzkie rozrzedziło się już w pokojach, zobaczyłam w drzwiach bladą mamę. Powiedziałam:

– Cały we krwi leżał, mamu. Ratować go prędko trzeba, mamusiu.

– Zabici – ona odparła.

Biły wszystkie dzwony. Widocznie ksiądz przeor kazał w klasztorze i ksiądz proboszcz w farze i nawet może siostry (Siostry Miłosierdzia) w kasynie?

– Idź z mamą do domu, dziecko. Obejmij ją, ona potrzebuje pomocy – powiedziała miła mama Bożeny.

Gdy postać mamy w drzwiach zobaczyłam, to zdała mi się jedną wielką rozpaczą. Ona o Bolecha pytała i mówiła, że trzydziestu.

– Trzydziestu, moje dziecko. Wstań, moja córuchno, pójdziemy. Pójdziemy do domu razem.